GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 3 | Poznań, dnia 26 stycznia 1936 | Cena 20 gr

Budujemy jedność narodową

Linja podziału ...

W odstępie tygodniowym tj. w dniach 12 i 19 stycznia br. na łamach „Gazety Polskiej" ukazały się dwa artykuły pióra b. ministra Ignacego Matuszewskiego: jeden zatytułowany „Linja podziału", drugi — „W czyjem imieniu?" Artykuły te stanowią pewną całość. Można je streścić następująco:

Polska, kierowana od maja 1926 r. przez marsz. Piłsudskiego, szła po linji rozwojowej w górę. Śmierć marsz. Piłsudskiego w r. 1935 stanowi dla rozwoju stosunków politycznych w Polsce chwilę przełomową.

W szeregach frontu „pomajowego" rodzi się zwątpienie, czy system „pomajowy" da się utrzymać. W ślad za tem idą koncepcje likwidacyjne; przytem jedni z „sanacyjnych" likwidatorów chcieliby pójść na lewo, drudzy na prawo.

W tej sytuacji grupa piłsudczyków, której wyrazem jest „Gazeta Polska", uważając siebie za jedynie prawowitych spadkobierców myśli politycznej marsz. Piłsudskiego, stwierdza, że do likwidacji „Polski pomajowej" nie dopuści i że o ten system „walka z nami nie będzie łatwa dla nikogo".

W drugim artykule autor wyjaśnia, kogo należy rozumieć pod „my", stwierdzając, że nie jest to grupka zakonspirowanych wojskowych, a więc pułkowników, lecz największy w Polsce zespół „piłsudczyków", który jest złączony jedną myślą ideologiczną, wspólnym sposobem myślenia:

> „Uznajemy dwie proste prawdy:
> Po pierwsze, że w rozstrzyganiu spraw pubilcznych kryterjum, jakiem rządzić się należy, jest interes całości i tylko interes całości, nigdy zaś części narodu;
> powtóre: iż w rozstrzyganiu wszelkich zagadnień należy zawsze patrzeć wprost w oczy rzeczywistości; że nie wolno nigdy pod żadnym pozorem ani samemu pocieszać się fikcjami, ani łudzić niemi ogółu.
> Oto dwie zasady tak proste, iż zdawałoby się uznać je winien za własne każdy poważny polityk"

stwierdza p. Matuszewski.

Równocześnie usiłuje autor przeprowadzić „linję podziału", która jego zdaniem zarysowuje się następująco:

> „I wcześniej czy później po jednej stronie barykady znajdą się ci wszyscy, którzy zechcą likwidować Polskę pomajową, po drugiej — ci, którzy zechcą ją utrwalać, wzmacniać, dalej w górę dźwigać."

Za kryterjum tego podziału uważa autor charakter i wiarę w system „pomajowy", a nie światopogląd i koncepcje polityczne.

TRAGEDJA PRÓŻNI ...

Na marginesie wywodów p. Matuszewskiego spróbujmy spojrzeć na polską rzeczywistość polityczną ostatniego dziesięciolecia, na jej rozwój i przemiany. Otóż nie ulega to dziś dla nikogo wątpliwości, że życie polityczne Polski w tym okresie wypełniał sobą w dużej mierze J. Piłsudski.

Ludzie wokoło niego skupieni przeszli swoistą szkołę polityczną. Jej cechą charakterystyczną był nie wspólny światopogląd, nie wspólna idea, konkretyzująca się w programie, lecz autorytet jednostki. Przed tym autorytetem wszyscy bez wyjątku, a więc zarówno „piłsudczycy" pur sang, jak i „ostatnie brygady" stawały na baczność. Poddanie się autorytetowi robiło z t. zw. „obozu prorządowego" jednolitą grupę, pomimo, że składał się z bardzo rozmaitych elementów społecznych i politycznych.

Ta więź polityczna, wzmacniana faktem dzierżenia władzy w państwie, była dość silna i wystarczająca dopóty, dopóki istniał autorytet. Skoro go zabrakło, wytworzyła się próżnia.

BEZ BUSOLI ...

Obóz „prorządowy" rozpoczął z tą chwilą przeżywać tragedję próżni, którą starano się za wszelką cenę w jakiś sposób zapełnić.

Dlatego potrzebna była nowa konstytucja, w której próbowano zinstytucjonizować na trwałe „ideologję" autorytetu. Zabieg ten okazał się niewystarczającym, skoro obserwujemy usilne zabiegi ze strony pewnych grup obozu „prorządowego", dążące do wprowadzenia na widownię polityczną autorytetu nowego „wodza".

Że te dążności wyrażają się bardzo dyskretnie, to dzieje się to chyba dlatego, iż nie wszyscy na nowy autorytet się godzą. Tym zabiegom jednoczącym grupę towarzyszą prądy odśrodkowe, którym p. Matuszewski zarzuca brak charakteru i wiary w Polskę „pomajową".

W ten sposób obóz „prorządowy", gdy zabrakło autorytetu, znalazł się bez busoli.

W POSZUKIWANIU DRÓG WYJŚCIA.

Obecnie jesteśmy świadkami poszukiwania tej busoli. Poszukiwacze jej próbują iść różnemi drogami. Brak autorytetu oraz niewystarczająca siła „mitu" rodzi „nowe" programy i koncepcje, które mają zaprowadzić „sanacyjny" okręt do cichej przystani.

Pułkownicy z „Gazety Polskiej" patrzą na to zupełnie naturalne zjawisko ze zgorszeniem. Nie widzą przytem, że sami się temu procesowi poddali.

Bo to, że oświadczają, iż walczyć będą o utrzymanie Polski „pomajowej" nie jest wszystkiem. Próbują także swojej „pomajowej" dać pewną treść i podstawę, szukając jej, o dziwo, u źródeł zwalczanego od pół wieku światopoglądu i programu „endecji".

Gdy postawimy obok siebie te dwa zjawiska, to musimy stwierdzić, że wzajemnie się one wykluczają, bo system „pomajowy" jest biegunowem zaprzeczeniem integralnego nacjonalizmu, konsekwentnie rozumianego. Z tych dwu możliwości można wybrać tylko jedną.

BUDOWA JEDNOŚCI NARODU.

One też wyznaczały i wyznaczają dotąd wyraźną linję podziału światopoglądów. Linja graniczna czy podziału systematycznie przesuwa się na korzyść światopoglądu narodowego, który dąży za wszelką cenę do zupełnej likwidacji wszelkich podziałów, a budowy jednej wspólnoty — jedności narodu. Wszelkie próby nowych „podziałów" mogą być aktualne tylko dla wewnętrznych stosunków „sanacji", dla Polski nowej sprawa ta jest przesądzona. Nie będzie ona ani przed, ani „pomajowa".

Jeżeli ma być wielką — musi być narodową.

J. T.

Stefan Dąbrowski, Poznań

Żydzi-kombatanci?

Od p. prof. dr. Stefana Dąbrowskiego otrzymaliśmy poniższy list, który ze względu na wagę poruszonego tematu pozwalamy sobie za zgodą autora w całości przytoczyć. Red.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Kurjerze Poznańskim" (nr. 15) w rubryce „Z chwili" była mowa o zjeździe w Warszawie delegatów Związku żydów uczestników walk o niepodległość Polski z udziałem przedstawicieli rządu polskiego. Nie mam pod ręką tego numeru, ale z prowokacyjnych przemówień owych niepodległościowców z r. 1936 utkwił mi w pamięci zwrot, że żydzi, opuszczając szeregi armji zaborczych, gdzie rzekomo walczyli na froncie, przeszli w szeregi tworzącej się armji polskiej.

Na dowód bezczelności tego twierdzenia przesyłam Panu w odpisie interpelację*) naszych posłów z Koła Polskiego w Parlamencie Wiedeńskim, którą zacytowałem w mojej książce „Walka o rekruta". W szpitalach żołnierze Polacy z pułków galicyjskich, przez które przesunęło się po 45—48 marsz-bataljonów (po 1000 ludzi) mówili mi często:

— Panie doktorze, gdy marsz-bataljon z samych żydów pójdzie na front, to wojna się skończy.

Otóż wiadomo, że wojna się skończyła i monarchja habsburska rozpadła się, zanim marsz-bataljon złożony z żydów wyruszył na front. Zresztą zajmując się zjawiskiem wyczerpania rezerw doszedlem do przekonania, że w kadrach galicyjskich pułków zagęszczenie żydów było charakterystyczną miarą wyczerpania zdolnych pod broń mężczyzn narodowości polskiej i ruskiej byłej Galicji. Jak zresztą wyglądały formacje tyłowe wartownicze, łatwo można skonstatować na załączonej fotografji, jednej z wielu, która krążyła po kraju i szpitalach, budząc oburzenie ludności chrześcijańskiej.

Bawiąc w roku 1925 w Paryżu złożyłem wizytę ś. p. gen. Mangin, którego zastałem, gdy czytał francuskie wydanie mej książki „Les empires centraux et la lutte pour le recrutement polonais pendant l'occupation (1914—1918)". Właśnie na str. 235 generał czytał interpelację naszych posłów i nie mógł się nadziwić, iż żydzi w Austrji posiadali takie wpływy, że z zasady nie pełnili służby na froncie, co dało powód do interpelacji.

Co do walk w szeregach tworzącej się armji polskiej, to znane mi są tylko stosunki w broniącym się Lwowie w listopadzie 1918 roku. Wprawdzie w jednym z rozkazów śp. pułk. bryg. Mączyński powoływał także do szeregów obrońców Lwowa żydów, jednakże zaledwie kilku do tych szeregów się zgłosiło. Reszta bądź patrolowała w białych opaskach, jako pomoc sjonistów ukraińców, bądź wstąpiła do armji ukraińskiej i zajmowała się głównie obstrzałem kościołów (np. z pozycji w Dublanach), bądź też zachowywała się wrogo wobec ludności polskiej, nie chcąc jej sprzedawać żywności. Świadczy o tem następujący rozkaz Lwowa i okręgu z dnia 23 listopada 1918 r.

Do ludności żydowskiej miasta Lwowa.

W ciągu trzech tygodni walki o Lwów znaczny odłam ludności żydowskiej nietylko nie zachowywał neutralności w stosunku do wojska polskiego, ale niejednokrotnie z bronią w ręku stawiał mu opór, a także w zdradziecki sposób starał się zatrzymać zwycięski pochód naszych wojsk. Zostały ustalone wypadki strzelania z zasadzki do naszych żołnierzy, zlewanie ich gorącym ukropem, rzucanie na patrole siekierami itp. Komenda wojska polskiego wstrzymuje naturalny odruch ludności polskiej i wojska. Wszyscy obywatele bez różnicy wyznania zostali wzięci pod ochronę prawa. Zostało w tym względzie wydane rozporządzenie o sądach i karach doraźnych.

Niemniej na ogóle ludności żydowskiej ciąży poważny obowiązek powściągnięcia części swoich współwyznawców, która w dalszym ciągu nie przestaje działać tak, jakby chciała ściągnąć nieobliczalną katastrofę na ogół ludności żydowskiej.

Komenda wojska polskiego liczy, że ludność żydowska m. Lwowa przedewszystkiem we własnym interesie wstrzyma swoich współwyznawców od objawów nienawiści do polskich rządów i że poprawnem i lojalnem zachowaniem się umożliwi władzom i reszcie ludności wprowadzenie i utrzymanie ładu, opartego na prawie."

Lwów, dnia 23 listopada 1918 r.

Komenda miasta i okręgu.



Z zbiorów prof. dr. Stefana Dąbrowskiego.

*) Interpelacja hr. Skarbka, Witosa i towarzyszy do ministra obrony krajowej w Parlamencie Wiedeńskim w 1917 roku.

„Jest rzeczą notorycznie znaną, wywołującą ogromne rozgoryczenie nietylko wśród ludności, pozostałej w kraju, ale przedewszystkiem wśród żołnierzy w rowach strzeleckich, że żołnierze żydzi prawie nigdy nie są używani do służby w rowach. Mimo, że w Galicji ludność żydowska stanowi około 11% ludności, w pułkach polskich i ruskich, rekrutowanych z Galicji, żołnierze żydzi nie znajdują się nigdzie nawet w przybliżonej liczbie, odpowiadającej procentowemu stosunkowi ludności. O ile w bataljonie, wyruszającym na plac boju, znajduje się kilku żydów, gdy w procentowym stosunku powinno ich być kilkadziesiąt razy więcej, to już podczas podróży na front i tych kilku znika i dostaje się albo do służby etapowej, albo do szpitali, w każdym razie zaś żadko który z nich do rowów strzeleckich dochodzi. Ponadto żołnierze żydowscy są ustawicznie reklamowani, a wielka ich część wcale nie przychodzi do kadry z powodu wyreklamowania, upozorowanego najczęściej dostawami wojskowemi, w których ludność polska i ruska nie bierze prawie żadnego udziału, pokrzywdzona w tym kierunku na korzyść żydów. Częste są wypadki, że żołnierze żydzi uprawiają handel różnego rodzaju na wsiach i miasteczkach, niby pełniąc służbę etapową, najczęściej w miejscu, albo w pobliżu miejsc pobytu. Żołnierze żydowscy, pełniący służbę w szpitalach, otrzymują najczęściej urlopy, tak samo jak i otrzymują najczęściej ze wszystkich innych formacyj pozafrontowych. Wywołuje to ogromne rozgoryczenie wśród ludności polskiej i ruskiej, która powysyłała w dziesiątkach tysięcy wypadków w pole swoich ojców i synów, wywołując też rozgoryczenie wśród żołnierzy, którzy widzą jaskrawe krzywdzenie siebie przez to, że się żydów do służby w rowach strzeleckich nie dopuszcza. Natomiast żołnierzom rolnikom, niezbędnie do prowadzenia gospodarstw potrzebnym, wszelkich ulg najczęściej się odmawia.

Wobec tego podpisani zapytują: Czy Ekscelencji panu ministrowi znane są te wypadki? Co Ekscelencja zamierza uczynić, aby temu nieuzasadnionemu uprzywilejowaniu żydów raz wreszcie położyć kres i rozgoryczenie ludności, oraz żołnierzy innych narodowości usunąć?"

(Wyjątek z książki prof. dr. Stefana Dąbrowskiego pt.: „Walka o rekruta polskiego pod okupacją" str. 208—209).

Rodosław Stokalski, generał w st. sp.

Włoska ofensywa w Abisynji

Poniższe rozważania oświetlają w sposób zasadniczy przyczyny czasowego zahamowania włoskiej ofensywy w Abisynji, które, jak wiadomo, zmusiło Włochów do rewizji pierwotnego planu operacyjnego i zmiany na stanowisku naczelnego wodza.

Pomimo zwycięstw taktycznych, wynikiem których było opanowanie dość znacznych terenów, ofensywa włoska w połowie listopada 1935 r. została unieruchomiona. Skutkiem tego pierwotny plan operacyjny musiał ulec rewizji i pewnym zmianom.

Bardzo ciekawym jest wyjaśnić przyczyny załamania się włoskiej ofenzywy. Naturalnie, że sankcje nie mogły jeszcze mieć wpływu na przebieg operacji na teatrze wojny.

Pomimo surowej cenzury wojskowej, pomimo ostrożnego redagowania urzędowych komunikatów, zawsze wkradną się do nich pewne ważne wiadomości, **albo przez małe wyrobienie i doświadczenie cenzorów i redagujących, albo których ukryć nie można.**

Dlatego z tych komunikatów urzędowych teraz już można ustalić wydarzenia, które do pewnego stopnia wyjaśniają przyczyny ówczesnego strategicznego niepowodzenia włoskiej ofenzywy.

Włoski plan ofensywy

Wiadomo, że Włosi, skoncentrowawszy przeszło 200.000 armję, rozpoczęli ofenzywę dwiema grupami:

północną silniejszą z Erytrei od Asmary na południe w kierunku na Aduę i Makalle i

południową słabszą, która skierowana była z włoskiej Somalji w kierunku północno-zachodnim na Ualual-Gogab-Harar.

Z kierunków tych wynika, że ostatecznem zadaniem grupy północnej, po rozbiciu armji abisyńskiej, było opanowanie stolicy Adis-Abeby. Grupa południowa winna była dotrzeć do jedynej linji kolejowej, która łączy stolicę z portem Dżibuti na terenie francuskim i przeciąć ją, by pozbawić Abisynję dowozu wojennego zaopatrzenia przez morze.

Włoskie grupy ofenzywne wyposażone były bogato w artylerję, czołgi, samochody pancerne i samoloty, oraz w wojska techniczne. Były to masy kompaktne i ciężkie. Organizacja — taka wskazuje, że dowództwo włoskie przewidywało, iż Abisyńczycy zgromadzą wszelkie rozporządzalne siły, a więc i swe nieliczne wojska regularne i pełną je odrazu na spotkanie wroga.

Wówczas ciężkim, ofenzywnym grupom włoskim będzie łatwo je rozbić, a przez zniszczenie wojsk regularnych pozbawić możności organizowania nowych sił regularnych z braku kadrów i czasu. Po tych zwycięstwach grupom włoskim będzie już nie trudno wykonać swe ostateczne zadania.

Uderzenie w próżnię

Przewidywania te zawiodły. Włoskie masy uderzały w próżnię. Spotykały zaledwie luźne oddziały wojsk nieregularnych, a gdzie niegdzie tylko niewielkie oddziały wojska regularnego.

Z tym nieprzyjacielem rozprawiały się, idąc na czele ofenzywy, bataljony askarysów. Są to wojska sformowane z czarnej ludności obszarów włoskich.

Po każdej ofenzywie wywiad sygnalizował liczne skupienia abisyńskie i ich zamiary kontrofenzywne. Ale, gdy Włosi w nadziei rozstrzygającej bitwy ruszali naprzód — znowu uderzali w próżnię. Ścierały się z nieprzyjacielem zaledwie awangardy askarysów. Sygnalizował też wywiad niejednokrotnie o koncentracji wojsk abisyńskich na skrzydłach włoskich, ale i te wiadomości okazywały się mylne, albo bardzo przesadzone. Główne siły wroga były nieuchwytne.

Strategiczne warunki Abisynji

Z powyższego przebiegu operacji widać, że sztab abisyński trafnie ocenił sytuację i zastosował odpowiedni sposób działań. Dla lepszego zrozumienia, skreślimy krótko strategiczne warunki Abisynji.

Jest to kraj, zajmujący przeszło 1.100.000 klm^2 przestrzeni, bardzo górzysty i tylko w południowo-wschodnich prowincjach Ogaden i Galla — rozpościerają się obszerne piaszczyste równiny, zamieszkałe w zależności od rozrzuconych po nich źródeł wodnych.

Dróg sztucznych Abisynja nie posiada, prócz jedynej linji kolejowej, biegnącej od zachodu na wschód i łączącej stolicę państwa Adis-Abeba z portem Dżibuti na terenie francuskim nad Morzem Czerwonem. W stosunku do państw europejskich struktura państwa abisyńskiego jest jeszcze pierwotna. Nadgraniczne prowincje są naogół feudalne i rządzone przez książąt, — którzy posiadają własne wojska przeważnie nieregularne, przynajmniej w pojęciu europejskiem. Gospodarczo też nadgraniczne prowincje nie są mocno związane z centrum. Abisynja liczy około 11.000.000 ludności bardzo wojowniczej z tradycjami tysiącletniej wolności. Stolica położona jest prawie w centrum kraju w odległości od granicy włoskiej Erytrei około 700 klm., a od granicy włoskiej Somalja od 800 do 1000 klm.

Granicy morskiej Abisynja nie posiada. Granica lądowa jest długości około 6000 klm., z tego na granicę z posiadłościami włoskiemi przypada do 2000 klm. Reszta — na granicę z posiadłościami francuskiemi i anglo-egipskiemi.

Armja abisyńska w momencie wybuchu wojny znajdowała się jeszcze w stadjum organizacji. Regularnego wojska było zaledwie do 20.000. Ścisłych danych nie mamy. Organizację przeprowadzali oficerowie szwedcy i belgijscy. Ostatni fakt świadczy o wielkiej przezorności władcy, który nie użył do tego dzieła oficerów mocarstw sąsiadujących z Abisynją.

Plan strategiczny negusa

Na podstawie powyższych danych i tego, co zaszło na teatrze wojny można przypuszczać, że sztab abisyński w następujący sposób rozwiązał zadanie:

„Dla skutecznego przeciwstawienia się Włochom trzeba posiadać paręset tysięczną armję regularną, a więc trzeba ją stworzyć. Ku temu użyje się rozporządzalne siły regularnej armji jako kadry. Na zorganizowanie takiej armji i jej koncentrację potrzeba, co najmniej pół roku czasu. Do zakończenia więc tych przygotowań trzeba przeszkodzić ofenzywnym grupom włoskim do posunięcia się w głąb kraju na odległość, z której zagrażaliby oni organizowaniu armji i która mogłaby zmienić na niekorzyść Abisynji sytuację strategiczną. Inaczej — nie dopuścić jak do zajęcia stolicy, tak i do opanowania linji kolejowej.

Ale do tej ostatniej operacji można użyć bardzo małe siły z istniejących wojsk regularnych, bo reszta będzie musiała być użyta do formowania sił koniecznych do ostatecznego rozstrzygnięcia wojny. Dlatego zadanie wstrzymywania Włochów wezmą na siebie wojska nieregularne, a dla dodania stałości przydzieli się do nich w niewielkiej ilości małe oddziały wojska regularnego.

Obie grupy ofenzywne włoskie dla osiągnięcia swych zadań ostatecznych tj. zajęcia stolicy i opanowania linji kolejowej będą miały w warunkach abisyńskich około 2 do 3 miesięcy marszu pokojowego. Rzecz jasna, że zatrzymując te grupy walkami, oddziałami nawet niewielkiemi i organizując partyzantkę na tyłach włoskich, można ten marsz przedłużyć do 6 miesięcy i więcej, co da możność sformować wojsko regularne i przybyć jeszcze w czas na teren wojskowy".

W pojęciu więc europejskiem zorganizowali Abisyńczycy działania osłonowe i trzeba przyznać, że te zadania naogół wykonywali świetnie, prowadząc ciągłe walki z nacierającemi awangardami włoskiemi i demonstrując zręcznie zamiary kontrofenzywne oraz oskrzydlające.

Działania te trzymały wojska włoskie w ciągłem napięciu, co wywoływało zmęczenie fizyczne. Niemożliwość zaś doprowadzenia do rozstrzygającej walki wywoływało zmęczenie moralne.

Każda ofenzywa włoska kończyła się opanowaniem pewnego terenu. Ostatnie pociągało za sobą osłabienie sił głównych, gdyż trzeba było zostawiać garnizony dla zabezpieczenia tyłów i trzymania w ryzach ludności okupowanych terenów.

Zaopatrzenie zaś wojsk, oddalających się ciągle od swych podstaw, wymagało organizowania nowych i budowy dróg komunikacyjnych, co znowu pociągało za sobą nowy nakład czasu, materjałów i ludzi.

Każda nowa włoska ofenzywa osłabiała front, zwiększała tyły, tworząc przeto coraz więcej czułych miejsc na działania partyzanckie.

Tymczasem główne siły abisyńskie stały się nieuchwytne, bo ich i nie było na froncie. Miejsca ich formowania i koncentracji nie były wyjaśnione wywiadem.

Te zręczne działania abisyńskie stały się jedną z przyczyn czasowego zahamowania ofenzywy włoskiej.

Była wszakże i druga przyczyna, która też przyśpieszyła zatrzymanie ofenzywy włoskiej. W pierwszych miesiącach wojny komunikaty głosiły o radości ludności abisyńskiej z powodu przybycia Włochów. Ale już wkrótce pojawiły się rozkazy o rozbrojeniu mieszkańców okupowanych obszarów, a komunikaty urzędowe donoszą wciąż o walkach na tyłach włoskich i o oczyszczaniu terenów z oddziałów zbrojnych.

Widocznie, rzekomo, przyjaźnie usposobiona do Włochów ludność, okazała się wrogiem, może nawet, groźniejszym niż dotychczasowi nieprzyjaciele na froncie. Jak widać Abisyńczycy zdołali zorganizować na tyłach ruch partyzancki, który bezwątpienia przyczynił się ,może nawet w większym stopniu niż walki na fronicie, do zahamowania ofenzywy włoskiej.

Askarysi...

Dalej z komunikatów urzędowych było widać, że w awangardach maszerują przeważnie bataljony askarysów. Czytaliśmy tylko o ich działalności. We wszystkich zwycięskich bitwach na czele szli ci czarni wojownicy. Tymczasem czarnych koszul na przodzie nie było.

Nie wdając się w roztrząsania tego zjawiska, dającego w każdym razie, dużo do myślenia, trzeba stwierdzić, że ciągłe wysuwanie naprzód czarnych wojowników musiało w ich głowach w miarę zwiększania się ofiar, wzbudzać zapytania: „Dlaczego i po co ofiary głównie ponosimy my czarni?". Odpowiedź nie mogła wypaść pomyślnie dla Włochów. Oprócz tego sytuacja taka przygotowywała grunt dla agitacji abisyńskiej. Skutek był ten, że czarni wojownicy zaczęli dezertować do nieprzyjaciela. Zdarzyły się wypadki przejścia na stronę abisyńczyków i całych oddziałów. Były nawet wiadomości, że na froncie południowym czarne oddziały stały się niepewne i trzeba będzie zastąpić je wojskami białemi.

Sądzimy, że ta postawa włoskich bataljonów czarnych też wywarła pewien wpływ na zatrzymanie ofenzywy.

Z powyższych rozważań trzeba wnioskować, że walki na froncie, trudności terenowe, a przeważnie wojna partyzancka i związana z nią trudność organizacyjna i bezpieczeństwa tyłów zmusiły Włochów do wstrzymania swej ofenzywy i skorygowania swych planów operacyjnych.

Hilary Majkowski, Poznań

Sztuka medaljerska w Belgji

Przed rokiem gościła w Belgji — w Brukseli i Antwerpji — wystawa współczesnych medali i plakiet polskich, urządzona przez Poznańskie Towarzystwo Numizmatyczne z inicjatywy ówczesnego vice-prezesa ks. Edmunda Majkowskiego. Ekspozycja liczyła 262 numery, trzydziestu i pięciu artystów, śród których wystawiono zarówno dzieła starszych przedstawicieli sztuki medaljerskiej (np.: Madeyskiego, Wysockiego, Marcinkowskiego, Raszki, Kotarbińskiego, Laszczki i in.), jak i młodych (Aumüller, Haupt, Lubelski, Szukalski, etc.) i najmłodszej generacji tj. uczniów Wysockiego z poznańskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych.

Wystawa ta przyniosła nam dużo pochwał, recenzyj, notat i artykułów, zarówno w prasie francuskiej jak i flamadzkiej, a sukcesy nań osiągnięte świadczą, że medaljerstwo polskie zdobyło uznanie kraju, mającego bogatą kartę w rozwoju sztuki tej w Europie. Odwdzięczając się za udzieloną polskim artystom gościnę, zaprosiło Tow. Numizmatyczne w Poznaniu, w porozumieniu z Królewskiem Tow. Przyjaciół artystycznego medala w Brukseli*) („Societé Royale des Amis de la Médaille d'art") belgijskich artystów do Polski, którzy w szeregu większych miast (dotąd Warszawa, Poznań, Kraków, Bydgoszcz), pokażą nam swój dorobek ostatnich lat na tem polu, dokumentując, że waleczna Belgja zawsze posiadała wybitnych mistrzów tej trudnej gałęzi sztuki, jakim było i nadal jest medaljerstwo. Rzućmy więc pobieżnie okiem na przekrój historyczny medaljerstwa belgijskiego, na ewolucje i twórczość artystów, począwszy od najstarszych czasów, po współczesność.

Od połowy XV stulecia, aż do rewolucji francuskiej działali na zachodzie artyści, których dzieła należą zawsze jeszcze do najlepszych i najcenniejszych okazów sztuki medaljerskiej. Jest rzeczą znamienną, że prócz neapolitańczyka Jana de Candida, grawera dworu Burgundzkiego, artyści ci pochodzili wyłącznie z Flamandji. I tak z Antwerpji wywodzili swe rody, wzgl. tam pracowali: Jean Second, Hans Simoens, Steven van Herwijck, Jakób Jongheling, Conrad Bloc, czterech Roettiersów, którzy przez cały wiek byli grawerami króla w Paryżu, z Brukseli: Jean de Montfort, trzech Waterłoo, Teodor van Berckel i in.

Odrodzenie belgijskiej sztuki medaljerskiej schodzi się z rewolucją krajową 1830 r., która przez oderwanie 9 prowincyj holenderskich dała niepodległość Belgji.

Medaljerstwo czasów republiki francuskiej i Napoleona jest prawie że bez znaczenia. Ożywiło się ono dopiero za rządów holenderskich Wilhelma I-go. Do medaljerów tego okresu należą: Józef Piotr Braemt, Adolf Christjan Jouvenel, Wincenty Józef Hart i Franciszek de Hondt. Separacja Belgji od Holandji spowodowała bicie własnej, krajowej monety. Wzory tych pierwszych monet wykonał Braemt i jego należy też więc uważać za pioniera nowej sztuki medaljerskiej w Belgji. Kiedy 1847 r. uchwalono emisję nowych monet, zlecono wykonanie stempli Leopoldowi Wienerowi, na długo, bo aż do r. 1880 oficjalnemu medaljerowi rządu belgijskiego, tworzącego dlań monety i medale.

Już coraz wyraźniej uwydatnia się medaljerstwo belgijskie, wślad za rzeźbą, z którą ma dużo związków. Panują bowiem w tych dwóch pokrewnych gałęziach sztuki te same reguły plastyki i takież same warunki estetyki. Choć już dawno minęły czasy napoleońskie, należą do neoklasyków medaljerzy jak Leonard Jehotte (1772—1851), Franciszek de Hondt (1786—1862), Józef Piotr Braemt (1798—1864), Adolf Christjan Jouvenel (1798—1867), Adrjan Hipolite Veyrat (1803—1883). Dwaj ostatni, pierwszy urodzony w Lille, drugi w Paryżu, ulegli pośrednio wpywowi Augustyna Dupre'a (1778—1883). Tem, czem we Francji byli obaj Tiolier, kontynuatorzy słynnego autora sztuki pięciofrankowej — rewolucyjnej z Herkulesem (Dupre'a), tem byli w Belgji Jouvenel i Veyrat.



Dr. fil. Wiktor Tourneur

U Veyrat'a można wszakże już zuważyć wpływ romantyzmu, którego oryginalne produkcje Davida d'Angers'a (1788—1856) są symptomatycznemi zjawiskami. Veyrat jest jednak bezpośredniej inspirowany przez życie, swobodniejszy i fantazyjny. Jouvenel, choć uczeń François Rude'a, był jednak więcej związany z tradycją David'a, co widzimy chociażby w wiernym portrecie Leopolda I i Marji Ludwiki.

Leonard Jehotte pozostał typowym klasykiem w portretach Leopolda I-go, oraz geologa André Dumont'a.

Właściwą historję medalu belgijskiego rozpoczyna jednak Józef Piotr Braemt. Twórczością swą zaznacza on koniec starej i początek nowej epoki. Pracował dla Wilhelma I-go holenderskiego i Leopolda I-go belgijskiego. Świetne, pełne życia są jego postacie alegoryczne. Obok Braemt'a kroczy Wincenty Józef Hart (Antwerpja 1810 — Bruksela 1860), a łączy obu artystów ta sama troska o precyzję portretową. Świetnymi portrecistami są także: M. C. de Vries (Amsterdam 1807 — Antwerpja 1880), August Brackevelt (Thielt 1835 — Bruksela 1908), Jan Wurden (Kolonja 1807 — Bruksela 1874); w portretach ich uwidocznia się szlachetna czystość linji. Har i Wurden są także autorami medalów Joachima Lelewela.

Największy wysiłek wyzwolenia się z tradycji łacińskiej zuważyć jednak można u F. de Hondt'a. Świetny technik, autor pierwszego medalu Leopolda I-go, sporządzał aż do 1842 r. reliefy swych medali w stali. Pierwszorzędną wartość posiadają również medale tajemniczego Dubois, nieznanego z imienia, nauki i miejsca zgonu. Jest on twórcą czterech medali z niezmiernie żywemi portretami.

J. Leclerq (Gandawa 1805 — Bruksela 1882) i C. Jehotte (Liege 1810—1883) są klasykami z tendencją do stylizacji. Niezbyt liczne, zimne, choć wypracowane klasyczne medale stworzyli jeszcze: J. N. Dargent (Griegnée 1817 — Ixcelles 1871), F. J. Lambert zwany Roisin (Namur 1808—1868) i Antoni Fish (Bruksela 1827—1892). Leclerq jest autorem żetonu na obchód rocznicy powstania polskiego 1830 r., wydanego w 1839 roku.

*) Towarzystwo to powołało specjalny komitet wystawowy, na czele którego stanęli: dwaj wypróbowani przyjaciele naszego narodu i świetni znawcy sztuki medaljerskiej, pp.: dr. Wiktor Tourneur, dyrektor Bibljoteki Królewskiej w Brukseli i dr. Marceli Hoc, kustosz Król. Gabinetu medali („Cabinet Royal des médailles De Belgique"). Polskę reprezentował bawiący podówczas w Belgji ks. Majkowski i prof. Jan Wysocki.

Kazimierz Bross, Poznań

L. Mierosławski winien czy nie winien?

(Na marginesie artykułu Adolfa Nowaczyńskiego „Mierosławski zrehabilitowany?“)

II.

Mierosławski ponosi zatem sam odpowiedzialność za treść swego zeznania, wyjawiającego spisek i obciążającego współspiskowców. Mierosławski twierdził, że wyznanie prawdy w tym procesie było koniecznością dziejową ze względu na interes Polski, Aleksander Guttry[12]) natomiast, wprawdzie dopiero od 1870 roku, i zgodnie z nim Maciej Wierzbiński[13]), nie wierząc w czyste intencje Mierosławskiego, zakwalifikowali postępowanie jego jako ciężkie pogwałcenie obowiązków honoru i sumienia, poprostu jako zdradę.

...„kiedy w r. 1846 — pisze A. Guttry — związek w jednym dniu na całej przestrzeni księstwa Poznańskiego, w główniejszych spiskowych swoich, wyłapanym został; kiedy p. Mierosławski, jak to później obszerniej opowiem, niezbyt zaszczytne złożył dowody wytrwałości i poszanowania tajemnicy związku i osób do niego należących; nie podzielałem powszechnego oburzenia, jakie ten pierwszy krok jego, na drodze lekceważenia obowiązków obywatelskich stawiony, — wśród uwięzionych i na prowincji przeciw niemu był wywołał. Broniłem go w więzieniu i później, — starając się zmniejszyć ogólną przeciw niemu niechęć. Przedstawiałem przyjaciołom moim, że zbyt surowym wyrokiem potępienia, nie należy przygniatać do reszty człowieka, jakkolwiek ciężką obarczonego winą, bo mu się przez to odbiera możność użycia skutecznie zdolności jego dla sprawy publicznej.

Oburzenie jednakże kolegów więzienia było tak wielkie, że kiedy nam dozwolono po zamknięciu śledztwa, we dwóch i trzech czasami w jednej przebywać celi, nikt p. Mierosławskiego za towarzysza mieć nie chciał. Dyrektor więzienia, kapitan Grabowski, prosił dopiero mnie i Białoskórskiego, z którym razem mieszkałem, abyśmy p. Mierosławskiego przyjęli do siebie, dodając, że go wybawimy z kłopotu, bo dotąd nikt na jego propozycję przystać nie chciał. Oświadczyliśmy gotowość naszą i p. Mierosławski często z nami spędzał zwolna wlokący się czas za kratą.

Wtedy to wyznał nam otwarcie, że przy śledztwie dał się podejść i ułudzić znanemu dyrektorowi policji Dunkierowi i wskutek tego tak obszerne porobił zeznania. Nie sądziliśmy zaprawdę wówczas, iż w dwa lata później ten oczywisty dowód nierozwagi i słabości, miał się przemienić pod piórem tego samego Mierosławskiego, w pochwalny hymn własnego poświęcenia swojego i niezrównanej odwagi cywilnej; a z drugiej strony, że miał dla niego posłużyć jeszcze za akt ciężkiego oskarżenia, przeciw tym wszystkim, których wydał i którzy wzbraniali się, przed sądem i publicznością naśladować ten wielki przykład zdeptania obowiązków i sumienia własnego.

W r. 1848, kiedy sprawa procesu berlińskiego wywołane niezaufanie powszechne odstręczało od p. Mierosławskiego najgorliwszych nawet patrjotów w Księstwie, ja z Białoskórskim i z B. Dąbrowskim, staraliśmy się usilnie, aby dla niego przejednać niechęć ogólną. — Zasiadając wspólnie w ówczasowym wydziale wojny, nastawaliśmy, aby mu oddano naczelną komendę nad formującemi się w Księstwie oddziałami i obadwaj z Dąbrowskim, przyjęliśmy nawet obowiązki adjutantów przy nim.“

Na innem miejscu tego dzieła (str. 174—193) zamieścił Aleksander Guttry wyjątki z „Pamiętników“, które ukazały się później, dopiero w 1891 r.[14]); tosamo oskarżenie spotykamy w przedruku tych pamiętników p. t. „W przededniu wiosny ludów“[15]), wydanym w 1913 r. przez Macieja R. Wierzbińskiego. We wszystkich tych wydawnictwach rozwodzi się Guttry szeroko nad niedolą Władysława Kosińskiego, rzekomej ofiary zeznań Mierosławskiego. Cytuję z nich odnośne wyjątki według ostatniego wydawnictwa:

...„po przewiezieniu większej części więźniów do Sonnenburga, więzienia dla złoczyńców przeznaczonego, udało mi się w Maju 1846 r. skomunikować się z Kosińskim i starałem się odwieść go od zamiaru pisania dla komisji śledczej memoryału, który w skutkach swoich mógł być bardzo szkodliwym dla współuwięzionych. Kosiński wyznał mi, że go Mierosławski w zeznaniach swoich o podróży do Krakowa tak bardzo skompromitował, że podanych przez niego szczegółów zaprzeć się nie może. Kiedy się to działo, nikt jeszcze z główniejszych związkowych nie był pod śledztwem, a Kosińskiemu wówczas żadnych innych protokólów nie przekładano z wyjątkiem zaczenego Mierosławskiego. Komisya zatem śledcza wyłudziła z Kosińskiego ów własnoręczny memoryał jedynie wskutek zeznań Mierosławskiego, a na podstawie obu tych dokumentów wymuszała z innych zeznania, wystawiając każdemu, iż wobec tak wiarogodnych dowodów, dłuższe tajenie prawdy nie może mieć żadnego celu i tylko pogorszyć musi położenie tych, którzy wbrew oczywistości nie zechcą przyznać się do winy.



Ludwik Mierosławski.

Nie wiadomo wprawdzie, czy Mierosławski odrazu porobił zeznania swoje, czy też przez czas jakiś zaprzeczał wszystkiemu, ale to pewna, że on pierwszy je złożył przed komisyą śledczą, że on spowodował przez to zeznania Kosińskiego, a później kilku innych jeszcze związkowych, jako też i to jest prawdą, że nikt inny nie złożył tak obszernych, tak szczegółowych i tak nazwiskami napełnionych zeznań, jak on właśnie.

Że taka zbyt szczera spowiedź jednego z naczelników spisku przeważnie wpłynąć musiała na innych związkowych, jak tego oczywisty na Kosińskim mieliśmy dowód, że zachwiać musiała mniej silne charaktery, a słabe do zupełnego przywieść upadku, nikt pewnie wątpić nie zechce, komu choć cokolwiek wiadome są przejścia indagacyi śledczych“.

Na innem miejscu dodaje Guttry:

„Te chwile ogólnego upokorzenia, w jakiem się znajdowali ci wszyscy, którzy pod śledztwem zeznania porobili, uchwycił wreszcie Adolf Malczewski i zapomocą wyrobionych przez siebie komunikacyi w więzieniu zdołał nakłonić winnych do odwołania swoich kompromitujących zeznań. Pierwszy Kosiński, uznawszy otwarcie i szczerze błąd swój przed kolegami, postanowił odwołać przed sądem wszystkie zeznania swoje.

Trudno opisać, ile człowiek ten cierpiał moralnie; rozpacz malowała się na wynędzniałej ze zmartwienia twarzy; sam sam siebie najciężej obwiniał i szukał jakby ulgi w robieniu sobie cierpkich wyrzutów, których wyjątkowo przeciw niemu nikt ze współobwinionych nie podnosił.

Wiedziano bowiem powszechnie, że owe niemiłosiernie szczegółowe podania Mierosławskiego co do podróży do Krakowa zmusiły go do przyznania się, że w niej brał udział, a przyznawszy to jedno, nie umiał wyprzeć się reszty. Współczucie dla Kosińskiego było ogólne, bo wiedziano, że odwołanie zeznań w własnoręcznem jego piśmie zamieszczonych, będzie dla niego niepodobnem. Radzono mu zatem, aby się ograniczył jedynie cofnięciem zeznań swoich w kwestyach, któreby innych kompromitowały i przeciw nim służyć mogły za dowód, a co do siebie samego, aby nie próbował nawet zapierania się wobec sądu, bo tylko po raz drugi skompromitować się może. Ale żal z niedotrzymania kolegom zaprzysiężonej solidarności płynący i poczucie obowiązku nie dozwoliły mu posłuchać próśb i przedstawień przyjaciół; oświadczył, że bądź co bądź odwoła wszystko.

— Wiem, mówił, że się skompromituję przed sądem, ale to będzie zasłużoną dla mnie karą za złamanie uroczystą przysięgą stwierdzonego obowiązku dochowania tajemnicy.“

Za przykładem Kosińskiego poszli inni i tylko ciężką nierównie winą obarczony Mierosławski chciał narazie wmówić we wszystkich, że inaczej pojmuje obowiązki demokraty spiskowego.“

Na pierwsze przedstawienie Adolfa Malczewskiego Mierosławski, chcąc winę swoją tak dobitnie przy śledztwie zadokumentowaną osłonić pozorami zasad, które niby tam chciał reprezentować, odpowiedział dumnie, że demokracja wojująca, do której on należy, przyznaje się otwarcie do zamiarów swoich, że postąpił w obecnej sprawie, jak mu ze stanowiska, które zajmował postąpić należało; że inny powinni pójść za jego przykładem i przyznać się do wszystkiego, bo tego wymagała godność narodowa.

Wszystkie te deklamacye nie zmieniły przekonań współuwięzionych o jego winie i ani na włos podnieść lub chociaż zobojętnieć tej winy przed nim nie zdołały. Zeznanie jego przed Dunkierem były zbyt szczegółowe, zbyt nieoszczędzające losu mnogich rodzin, aby do powyższych słów jego można było jakąkolwiek przywięzywać wiarę. A i sam Mierosławski pewnie nie przywięzywał, bo nie podobna przypuszczać, aby nie wiedział, ilu ludzi pogrążył w nieszczęściu, ile rodzin przeklinać go musiało. Surowość zaś, z jaką Prusacy postępowali z więźniami przed i w czasie śledztwa samego, nie pozwalała najograniczeńszemu nawet umysłowi poddawać się złudzeniom, że rząd w interesie amnestyi chciał odegrać jakąś polityczną komedyę ze związkowymi.“

Tak zatem przedstawia się zagadnienie „winy“ Ludwika Mierosławskiego z 1846 r., stwierdzonej przez Guttrego w 1870 r. „po prokuratorsku“, jak to trafnie zauważył Nowaczyński. Czy wina Mierosławskiego jest jednak istotnie udowodnioną? Zarzut zdrady, skierowany przez Guttrego pod adresem Mierosławskiego, przyjęto niestety ogólnie jako sąd historji. Wydaje się jednak, że zagadnienie to bynajmniej nie jest wyjaśnione do reszty, że wymaga wreszcie krytycznego i bezstronnego wyświetlenia. Zarzut Guttrego, mimo pozornej słuszności, budzi bowiem duże wątpliwości. Zarzut zdrady jest przecież tak ciężki, że musiałby prześladować i przygniatać Mierosławskiego przez całe życie. Czy było istotnie tak, jak to przyjmuje Adolf Nowaczyński?

Po wysłuchaniu oskarżyciela Guttrego, musimy oczywiście przesłuchać świadków i samego oskarżonego, skonfrontować zeznania poszczególnych osób, zajrzeć do oficjalnego oskarżenia prokuratora w procesie moabickim i do akt procesu, by potem sprawiedliwiej osiądzić jego sprawę. Zeznania Mierosławskiego, złożone w śledztwie wstępnem niestety nie są dostępne. Sądzę jednak, że i bez nich można będzie wyjaśnić zagadnienie winy Mierosławskiego.

By się dowiedzieć, jaki był wobec rzekomego przewinienia Mierosławskiego odruch ówczesnego społeczeństwa poznańskiego, zwracamy się do współczesnych autorów ks. Jana Koźmiana, Jędrzeja Moraczewskiego i Władysława Euzebjusza Kosińskiego, sądząc, że odgłos opinji społeczeństwa znajdzie się zapewne w pismach tych pisarzy.

Ze względów chronologicznych oddaję najpierw głos ks. Janowi Koźmianowi[16]), którego „Stan rzeczy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem“ ukazał się już w 1848 r., a więc bezpośrednio po wypadkach.

Pisząc o aresztowaniach, śledztwie i procesie Polaków w latach 1846—1847 Koźmian nie wspomina wogóle o zeznaniach Mierosławskiego, a opisując końcową fazę powstania, poddanie się dowódców władzy pruskiej, wyraża się o Mierosławskim, jak następuje:

„Mierosławski zeszedł ze sceny nie zaspokoiwszy obudzonych w kraju i za granicą oczekiwań. Spodziewano się po nim rzeczy nadzwyczajnych, tymczasem najprostszym wymaganiom obowiązku dowódcy nie odpowiedział. Bił się śmiało kiedy było potrzeba, ale nie umiał rozkazywać. Gdzież się miał nauczyć trudnej sztuki dowodzenia? W teorji można się wyćwiczyć na osobności, do praktyki trzeba pola i wprawy. Trudno mu znowu mieć za złe, że uwierzył w swoją zdolność. Niech mi kto pokaże człowieka młodego, a czującego w sobie pewną siłę, przytem gorąco kraj kochającego, któryby, kiedy mu się od razu najwyższe szczeble do nóg naginają, zdołał w interesie przyszłości swojej, miarkując niecierpliwą ambicyą obrać drogę powolniejszej wysługi. Z drugiej strony jeśli Mierosławski dowodzić nie zdołał, pokazał prawdziwą osobistą odwagę i rzeczywiste pojęcia o porządku i subordynacji. Teraz, jeśli nauczony doświadczeniem, zechce na właściwe wrócić stanowisko i zawód swój niejako na nowo rozpocząć, jeszcze się może stać użyteczny Ojczyźnie i zasługą a trudem dobić się położenia, które teraz bez zasługi zajmował.“

W krytyce tej, uznającej dodatnie cechy charakteru Mierosławskiego — mianowicie jego gorącą miłość ojczyzny, odwagę osobistą, bitność, umiłowanie porządku i subordynacji, wyraża się autor ujemnie tylko o jego zdolności rozkazywania; niema tam mowy o tak ciężkiem przewinieniu, jak wydaniu i zdradzie spiskowców, co niewątpliwie ks. Koźmian byłby zaznaczył, gdyby o winie Mierosławskiego był przekonany.

A historyk Jędrzej Moraczewski[17]) pisze, co następuje:

„Było to dnia 28 marca na wieczór, że u rogatek Poznania czekali strzelcy tarczowi, gwardya narodowa i nieprzejrzane tłumy ludu na więźniów z Berlina. Nadjechał Mierosławski w towarzystwie kilku uzbrojonych Polaków, którzy się nawet zwali gwardyą Mierosławskiego. Wśród okrzyków radosnych z pochodniami prowadzono go na rynek, gdzie zajaśniały ognie bengalskie, a Mierosławski, po długich okrzykach: „niech żyje nasz wódz zmartwychwstały!“ ze wschodów ratuszowych podziękował za to wspaniałe przyjęcia.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[12]) A. Guttry. Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania. Liège. Nakładem autora. Drezno. 1870, str. 2—3, 174—193.

[13]) Maciej R. Wierzbiński. Ludwik Mierosławski. Portret. Poznań, 1916, str. 32—33.

[14]) Pamiętniki Aleksandra Guttrego z lat 1845, 1846. 1847. Poznań, 1891, str. 104—124.

[15]) W przededniu wiosny ludów. Wspomnienia Aleksandra Guttrego z r. 1846—48, wydał i przedmową opatrzył Maciej R. Wierzbiński. Wilno. 1913. Str. 132—154.

[16]) (Koźmian Jan). Stan rzeczy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. (Wyjątek z Przeglądu Poznańskiego). Poznań. Nakładem autora. 1848, str. 17—20, 152—153.

[17]) Moraczewski Jędrzej. Wypadki poznańskie. Poznań. 1850. Str. 48—50, 64.

Przeciw tej dekoracji zareagował zwycięzko Jakób Wiener (Hoerstgen w Nadrenji 1815 — Bruksela 1899). Jest on artystą dokładnym, niezmiernie czystym i precyzyjnym. Operował techniką do przesady delikatną i drobiazgową, lecz nie pretensjonalną. Wykonał m. in. przeszło dwadzieścia medali, przedstawiających słynne stare i nowe pomniki Belgji, obok kościołów, ratuszy, więzień, wnętrzy i widoków zewnętrznych, tworząc tem niejako historję architektury w medalach. Był to ulubiony jego temat, do którego stale powracał, odtwarzając później jeszcze na 40 medalach architekturę Francji, Hiszpanji, Partugalji, Turcji, Włoch, Niemiec, Rosji i Norwegji.

Drugi z trzech Wiener'ów, Leopold (Venloo 1823 — Bruksela 1891 r.) był przedewszystkiem portrecistą i to szczerym, wiernym, związanym z tradycją klasycyzmu francuskiego, jak tego dowiódł w długim szeregu swych prac. Rozpoczął działalność około roku 1845, a szerzej dał się poznać przez monetę 5 frankową z roku 1849. Jego sława rośnie skutkiem wykonania dużej ilości bardzo wartościowych medali, z których medal Królowej Marji Henrjety należy do najlepszych dzieł bilgijskiej sztuki medaljerskiej.

Najmłodszy, Karol Weiner (Venloo 1832 — Bruksela 1887), był bardzo nierówny w swych pracach. Obok arcydzieł, jak np. medalu Królowej angielskiej Wiktorji, której portret oddaje wszystkie zalety charakteru tej królowej, jej twarz surową, wyniosłą i spokojną — i medalu z roku 1868 na odsłonięcie pomnika Króla Leopolda I-go w Antwerpji, z pięknie wymodelowanym pomnikiem konnym, reszta jego prac jest mało artystyczna. Niekiedy jeszcze odważył się na nielada dzieło, jak medal Van Akena burmistrza Maestricht'u, wymodelowanego w 3/4 w sensie realistycznym**).

**) Do najsłabszych należy medal polski na Powstanie 1863 r. Medal ten wogóle nie ujrzał światła dziennego, zachowały się jednak odbitki próbne.

Ostatnie przebłyski romantyzmu wykazują: J. H. Stordeur (uczeń Braemt'a, ur. 1889 w Brukseli), Ed. Gurts (Bruksela 1846 — Ixelles 1889), A. Geefs (Antwerpja 1829 — Schaerbeck 1889), Henryk Karol Wurden — syn (Bruksela 1849) i V. Lemaire (Gandawa 1826—1915). Ostatni, który pod pewnym względem kontynuował dzieło trzech Weinerów, przechodzi pod koniec życia metamorfozę, modelując i tworząc w wieku lat 75, naturalistyczny, z werwą i z młodzieńczym temperamentem traktatowym medal słynnego konstruktora Johna Cockerill'a.

Po Lemaire zauważamy chwilowy zastój w medaljerstwie belgijskiem. Wydawało się nawet, że zaniknie ono w zupełności. Można nawet powiedzieć, że ostatnia kreacja Lemaire'a otwiera nową drogę, lub ją rozszerza, bo kilku artystów lękliwie jęło ją torować. Lemaire'a łączy przeszłość z przyszłością; żyje artysta w czasach, w których ustala się ewolucja modernistyczna. W pierwszy szeregu odrodzenia belgijskiej sztuki medaljerskiej bieżą: Karol Vanderstappen (Saint Josseten Noode 1845 — Bruksela 1910) i Julien Dillens (Antwerpja 1849 — Bruksela 1904), dzielący tendencje plastyki włoskiej, posłuszni obserwacji naturalistycznej. Vanderstappen modeluje w roku 1889 medal Jakóba Weiner'a, zastosowując rodzaj faktury impresjonistycznej, którą i w późniejszych zachował dziełach. Dillens operuje efektami dekoracyjnemi, dając swym małym dziełom charakter monumentalności. Przedmiot wychodzi tu z ram, opuszcza krążek metalowy i u Dillens'a jest medal rzeczywiście siostrą rzeźby.

Z reguł rygorystycznych wyzwalają się grawerzy: Piotr Bracke (Niemport 1859), Idzi Rombaux (Schaerbeek 1865) i Juljen Lagae (Roulers 1862 — Bruksela 1931). Inni pozostali wierni dawnej tradycji, dając bardziej realistyczne tłumaczenie portretu. Są nimi: De Rudder (Bruksela 1855), L. F. Dupuis (Lixhe 1842), Fr. Vermeylen (Louvain 1857 — 1922), Fr. Vissaert (Bruksela 1855 — Overyssche 1929), J. Baets (Antwerpja 1867), Hipolit Lekoy (Liege 1857), Gwilelm Charlier (Ixelles 1854 — Bruksela 1925), Paweł Dubois (Aiwaille 1859), D. J. Devillez (Mons 1855), Karol Samuel (Bruksella 1862), Victor Rousseau (rzeźbiarz rzadko medale tworzący), oraz znakomici Godfryd De Vreese i J. Dupont (Sottegem 1864). Ostatniego medala Skaldy (rzeka, nad którą leży Antwerpja), Sztuki, Handlu są jakby płaskorzeźbami w redukcji. Piękny jest również jego medal ku czci Kardynała Merciera.

Ostatnią generację realistów reprezentują: F. Dekkers (Antwerpja 1873), L. Sagehomme, D. Bija (Riga 1872***), J. Jourdain (1873), J. Le Croart (Lacken 1883), F. de Cuyper, Jenny Lorrain (Victon 1873), Jerzy Petit (Lille 1873), N. Mauquoy (Antwerpja 1880), Eug. de Bremaeker (Bruksela 1879), P. Theunis (Antwerpja 1883), C. de Cock (Gadndawa 1879, autor pięknej plakaty z portretem malarza Jana Delvin'a), A. Jorissen (Louvain 1884), Fr. Huygelm (Antwerpja 1878), Geo Verbanck (Gandawa 1881), J. Witterwulghe (Bruksela 1883), Angelo Hecq (Pieton 1901), R. Pirart, A. Dupon, V. Scheurmans, R. Sautie i in.

Wśród ostatnio wymienionych należy podkreślić twórczość Armanda Bonnetain, najsilniejszą osobistość szkoły medaljerów w ostatniem stadjum rozwoju. Bonnetain łączy tradycję ze współczesnością; jego faktura jest bogata jak florentyńczyków XV wieku. Stempel wyrzyna wprost na stali, nie posługując się maszyną redukcyjną. Fakturę ma barwną, jak impresjoniści XIX stulecia. Jego portrety posiadają styl rafinowany, pulsujący życiem, w formach szeroko rozłożonych i ze sobą zgodnych.

Mniej konstruktywny jest Paweł Wisaert (Bruksela 1885), natomiast talent syntetyzowania twarzy w transpozycjach geometryczhnych posiadają Adolf Wausaert (Verviers 1873) i Dolf Ledel (Scharbeck 1893).

Wszyscy ci artyści wzięli mniej lub więcej wybitny udział w tworzeniu szkoły narodowej. W pierwszej połowie w. XIX wpływ francuski dominował w ich twórczości, a to z tego powodu, że w medaljerstwie pracowali bądź Francuzi osiedli w Belgji, lub Belgowie wykształceni we Francji. W drugiej połowie w. XIX wydała współpraca Flamandów i Walonów odczucie duchowe belgijskiego medalu jak to słusznie powiedział dr. Victor Tourner „un sentiment belge de la médaille“. Duch ten ustalił się definitywnie około r. 1870. W dalszych latach dał podstawę pod sztukę narodową.

***) Jest Bija jakby belgijskim Makowskim. Stworzył bowiem kilka set plakiet portretowych wybitnych Belgów, lanych w bronzie, bez retuszu.

Niema w Belgji medaljerów — futurystów, ekspresjonistów, hyperrealistów, lub tym podobnych. Zresztą medal nie nadaje się do tego rodzaju eksperymentów, ekstrawagancyj i błędów, którym podlega malarstwo, grafika i rzeźba. Jest to przywilej, dzielący medaljerstwo z literaturą. Ci bowiem artyści, którzy usiłowali wprowadzić tu nowe formy, szybko z nich zrezygnowali, spostrzegając wcześnie, że nikt dlań niema zrozumienia.

Pod koniec wymienić nam wypada medale i żetony belgijskich artystów na tematy polskie. Są to:

Steven van Herwijck 1561/62) — Zygmunt August, 2 medale, Królowa Katarzyna, Królowa Bona.
Wawrzyniec Józef Hart (1858) — Lelewel.
Jan Wurden (1859) — Lelewel (mały), Lelewel (duży).
Karol Wiener — Żeton na Powstanie Styczniowe 1863.
Adrjan Hipolit Veyrat — Lelewel.
J. Leclerq — Żetony na obchód rocznicy Powstania Listopadowego w Brukseli 1833 i 1834.
Ferdynand Dubois (1891) — Medal z głowami Lelewela i Chalona na 50-lecie Tow. Numiz. w Brukseli.
Paweł Fisch (1900—1902) — Żeton obecności Tow. Numiz. Belg. z głową Lelewela.
Godfryd Devreese (1900) — Polska, medaljon 100 m/m. odlew bronzowy wystawiony w Paryżu 1921 r. na wystawie sztuki belgijskiej.
Godfryd Devreese (1900) — Głowa Polki, medal w srebrze.

Pod światło...

Z TEATRU

Teatr Polski w Poznaniu:

„Szesnastolatka“, sztuka w 3 aktach, 5 odsłonach.

Bardzo kochająca się rodzina (angielska). A właściwie półrodzina, bo mąż już nie chadza między żyjącymi. A więc babunia (taka prawdziwa — z bajki), jej córka — elegancka i świetnie się prezentująca wdówka oraz dwie jej córeczki pensjonarki. — Rzeczono w tytule szesnastolatka Irka i siostrzyczka takowej czternastolatka. Na piątą — aby bajce stało się zadość, autorzy dodali parę pereł, sługę nad sługi — wierną Mary.

I oto, jak w każdej bajce, kobiety owe miłują się jak nie z tego świata. A już „szesnastolatka“ — to wprost ubóstwia swoją mateczkę, za którą świata nie widzi. Również silnie czci pamięć swego ojca.

Cała atmosfera owego home wypełniona jest kultem b. pana Lawrence'a, który miał być arcymężem. Nagle piorun z jasnego nieba. — Ukochana mateczka — choć spewnością naszego Fredry nie zna, to jednak wie, że „nie mieć męża mocno boli“. Pragnie więc zmienić stan wdowieński i rzeczywiście to czyni. Babunia się cieszy, czternastolatka szaleje z uciechy, przyjaciel domu, stary doktor uradowany, wiernej Mary aż łzy płyną ciurkiem na myśl o szczęściu, jakie „robi“ jej pani.

I wtedy zaczyna działać „szesnastolatka“. Następują najokropniejsze dąsy, bo zobaczyła „jak się całowali“. Pamięć arcyojca zdradzona, matki nie chce dotknąć, dostaje prawie szału, idzie się topić, kończy się jednak na przeziębieniu i remedjach.

Wreszcie przyjaciel domu, doktor zdziera aureolę z duchowego portretu ojca, jaki sobie pod wpływem opowiadań matki urabia: nie był to żaden anioł. Raczej przeciwnie... Koniec, jak w bajce — wszyscy pogodzeni, wszyscy szczęśliwi.

A więc charakterystyczny dla rodziny angielskiej problem (zresztą nietylko angielskiej): wychowanie, oparte na zakłamaniu, czy na szczerości?

Autorzy nie czynią oczywiście, żadnych wysiłków, aby problem ten pogłębić. Ot — problemik.

Niema tam żadnych głębin, żadnej wymyślnej psych — ani psychopatoanalizy. Rzecz się nie haczy, rozwija się jak bawełna z kłębka. Ludzie są nieskomplikowani, dobrzy, pięknie wychowani. Co chwilę ktoś się dla kogoś poświęca, ktoś komuś robi uprzejmości, od czasu do czasu zaś, że to niby w Anglji, a więc popije ktoś wtisky and soda.

Miła — w miarę wesoła, w miarę niepokojąca, bardzo przyzwoita bajeczka z happy end'em. Zaciekawia; nie brak jej ruchu.

Interesujące zagadnienie, coby z takiego tematu sfabrykował rodzimy, warszawski reżyser filmowy a więc: „szesnastolatka“, miałaby już 40 kochanków, z których ostatni byłby właśnie owym drugim mężem jej matki. Zrazu czyniłaby mu różne sceny zazdrości. Ten jednak wytłomaczyłby jej łatwo, iż bardzo chytrze czyni, zostając mężem jej matki. W ten sposób bowiem będą zawsze blisko siebie.

Najmłodsza, czternastoletnia byłaby już matką siedmiorga dzieci. Żadnia leczyłaby się na chorobę weneryczną, nocami zaś tańczyłaby, rozebrana, w kabarecie, do którego, przez szyby, zagląda pułk polskich ułanów i bataljon Kozaków. Sparalizowana babka byłaby alkoholiczką i szefem szpiegów, wykradających różne wynalazki wojskowe. Służąca Mary natomiast — okazałaby się przebranym w szaty niewieście szefem wywiadu polskiego, który wkońcu demaskuje szpiegów.

Wreszcie wchodzi na jaw, że ojczym i kochanek szesnastolatki w jednej osobie — to niebezpieczny handlarz żywym towarem. Obraz kończą zbliżenia: szpital chorób wenerycznych, 25 szubienic, pułk ułanów, śpiewających: Wołga, Wołga i bataljon Kozaków, śpiewających „Brygadę“.

Niestety, zwycięska para autorów niczego podobnego nie pozwala się domyślać.

Miłą tę bajkę zagrano nader starannie. Role zresztą autorzy zakreślili wyraziście, podeszły pod obsadę, więc nic dziwnego, że na premjerze oklasków nie brakło. Lwią ich część otrzymała p. Porębska. Dla niej trzebaby w Poznaniu zmienić tytuł sztuki na „Czternastolatkę“.

Noszeniem sów do Aten jest przypomnieniem, iż p. Porębska ma bardzo duży talent charakterystyczny, ogromną naturalność gry i doskonałe wyczucie komizmu. Wszystkie jej gierki, któremi z takim wdziękiem zdobi każdą rolę, są świeże, niepowtarzające się podawane z umiarem, z niepomierną łatwością przeskakują rampę: publiczność chwyta je nadzwyczajnie. P. Porębska ma wielki dar łatwego kontaktu z widownią. Posiada przytem w Poznaniu ogromny kredyt publiczności, zdobyty szeregiem nieprzeciętnych sukcesów. A że tego kredytu nigdy nie nadużywa — dowodzi wielkiej uczciwości artystycznej i poważnego stosunku do swej sztuki. Młoda wdowa p. Łabuńskiej była tak czarującą, że trudno uwierzyć babuni, iż robi nadzwyczajne szczęście, wychodząc zamąż. Z taką aparycją spewnością znalazłaby niejednego kandydata...

Babunię grała p. Sachnowska. Ale to nie jest ścisłe. Trzeba napisać: Babunią była Sachnowska. Gra tej artystki bowiem najmniej jest grą. Za to jest ogromnie dyskretną i naturalną w prostocie. Niema u niej cienia gonitwy za efekciarstwem, niema żadnej tendencji, aby „utruć“ chociażby najmniej wprawnego partnera czy partnerkę, czem niestety grzeszy wiele renomowanych nazwisk.

O p. Czarneckiej (Mary) tyle już wypisano pięknych słów, iż nie chciałbym usłyszeć w odpowiedzi: „oliwę i czas straciłeś“.

Przeczuloną, histeryzującą od kulisy do kulisy „szesnastolatkę“ powierzono p. Galińskiej. Rola taka jest ogromnie niewdzięczna. Najmniejszy brak umiaru i dyscypliny wewnętrznej grozi szarżą. P. Galińska brakiem tego umiaru nie zgrzeszyła. To już wiele znaczy. Parę pustych miejsc które zauważyliśmy w jej grze, spewnością zniknie w miarę powtarzania się wieczorów, wszyscy bowiem wróżą „Szesnastolatce“ znacznych sukcesów.

Całość puścił sprawnie w ruch p. Zawistowski. Szkoda tylko, że nieco nie przecedził rozlewności doktora (p. Konarski), który jest trochę przesłodzony. W sumie — wieczór bardzo miły. A jakże! — Móc być świadkiem bajki, kulturalnie podanej, wierzyć w jej sceniczną prawdziwość, spotkać miłych i bezwzględnie dobrych, uczciwych ludzi, nie zobaczyć żadnej kanalji, od których roją się dzisiejsze sztuki — to duża przyjemność. Szkoda, że widziało się to tylko w teatrze. A może właśnie dobrze? Może sobie ten czy ów przypomni, że jednak i w tem życiu, na które zazwyczaj i teatr i my — psioczymy — dobrych ludzi nie brak?

STANISŁAW ODROWĄŻ.

„Bij żyda!“, czyli truizmy i nieścisłości

Odpowiedź K. L. Konińskiemu.

P. Karol Ludwik Koniński wydrukował w „Zecie“ (nr. 15—16) artykuł p. t. „Listopad uniwersytecki“ w sprawie zajść przeciwżydowskich, potępiając je. Potępiać jest dość łatwo, Walczyć i nie przekroczyć granic walki — trudno. Nawet w walce sportowej potrzebni są sędziowie. A cóż dopiero w walkach o życie?

Sądzenie nie jest także rzeczą łatwą, jeśli ma być sprawiedliwe. Ale u nas rozwielmożniło się wtrącanie się do trudnych i gorących walk politycznych — znachorów. Rozparło się literackie lub naukowe badanie wybuchów dynamitów ideowych. Schemat takich sądów jest dość banalny: literatura (kultura) zjawiska takiego nie notuje, jest więc ono niezgodne z duchem tradycji. Potępić. Albo: zjawisko takie a takie znano dotąd tylko u obcych. Jeżeli się pojawiło u nas, to wpływ obcy, zależność. Potępić.

P. Koniński przydał swemu artykułowi nawias: „garść truizmów“. Niestety obok truizmów przyczaiło się w nim sporo nieścisłości. Do takich należą: bajeczki o kopalnej etyce Niemców (anegdot o hitlerowskiem barbarzyństwie wobec żydów jest dość), ale to nas mniej obchodzi. Natomiast nieprawdę jest, że w r. 1930 zabił się student żydowski, „nie umiejąc przecierpieć poniżeń“, a prawdą jest, że umarł niezależnie od siebie. Krzywdzącą nieprawdą jest, że młodzież akademicka narodowa unika poważnych zebrań politycznych i patrjotycznych, a jest prawdą, że te zebrania sama urządza i obsyła tłumnemi setkami. W obronie Polaków gdańskich — niech się dowie p. Koniński — chciała młodzież ta zwołać w Krakowie wiec w r. ub. — nie pozwolił rektor. Nieprawdą jest, że młodzież narodowa, gdy profesorzy walczyli o autonomję uniwersytetów, szkodziła sprawie, bo owszem walczyła o autonomję jak mogła i nigdy żaden uniwersytet, żaden profesor jej akcji nie potępił. Obok nieścisłości operuje p. Koniński nieprawdziwemi sugestjami. Istotnie nierycerskie napady najgorszych jednostek, które się wszędzie przypętają, uznaje za charakterystyczne dla akademika-narodowca. Sugeruje zawrotną ilość i jakość tych wyjątkowych wypadków. Sugeruje nam p. K. pchanie żydów do komunizmu (jakże mają nie iść!?), sugeruje patrjotyzm i humanitaryzm żydów, a nawet szerzenie przez nich kultury polskiej. Otóż zdarza się, że człowiek zdrowy przenosi chorobę. W tym wypadku czasem chorzy roznoszą zdrowie. A zresztą, ile jest interesu w tem żydowskiem kapłaństwie przy kulturze? („Wiadomości Lit.“). Sugeruje p. K. Obozowi Narodowemu chęć „monstre - programu wyrżnięcia“, sugeruje mu zależność od międzynarodówki antysemickiej. Sugestje nieprawdziwe i złośliwe.

Wreszcie czyste tezy: żydzi są źli, podli, wywrotowi, bo antysemityzm pcha ich do tego; walka powinna być żołnierska, a jest — chyba łotrowska; młodzież narodowa jest „małodusznie letnia“, bez silnej woli i idei, zakłamana, „po drodze do ołtarza lub od ołtarza“ w czasie komunji św. poniewiera godność ludzką żydów. Na „truizmy“ odpowiemy truizmami. Nie my jesteśmy sprawcami żydowskiej podłości, ale ich podłość i grzechy są przyczyną antysemityzmu. Gdyby żydzi byli prawi i uczciwi, przyznaliby nam słuszność w wypieraniu ich. Wolą pluć i prowokować. Idealizmu naszego i maksymalizmu ideowego nie sposób przedstawić, trzeba chcieć je zobaczyć. Zobaczyć — nietrudno. Po ludzku biorąc, spowiedź jest oczyszczeniem się z grzechów, tylko chodzenie do kościoła nie zbawi od nich. Nawet św. Piotr obiecał Melchusowi ucho — a my jesteśmy apostołami też i mamy prawo unieść się. Żołdaków, którzy chcą pojmać Polskę, jest bardzo wielu.

Kursuje u nas wiele zdań i haseł, które w pewnych ustach nic nie znaczą. Np. że sprawa żydowska jest „ważna, którą trzeba załatwić i załatwiać“.

Ludzie tacy nawołują do stworzenia „programu polityki realnej“. Ale cóż takim ludziom, do których i p. K. chce widocznie należeć, nie podoba się także „chroniczny pogrom bez mordowania hurtem, ale zapomocą nieustannych, wyrafinowanych i bezwzględnych szykan“. Bojkot gospodarczy — ależ to też „chroniczny“, „zimny“ pogrom! Więc? Nie dziw, że potem wniosek o charakterze polskim brzmi: „małodusznie letni“.

P. Koniński jest niepospolitym krytykiem literackim i sprawę poważną, trudną, odpowiedzialną ocenił po literacku.

JAN BIELATOWICZ, KRAKÓW.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

VII koncert symfoniczny. — Teiko - Kiwa jako Madame Butterfly.

VII koncert symfoniczny obejmował: Symfonję es-dur Haydna, Koncert skrzypcowy Brahms'a oraz II symfonję Jerzego Lefelda.

Solistą wieczoru był p. Zdzisław Jahnke, którego spokojna i bardzo opanowana gra nadaje się dobrze do zimnej napozór, lecz pełnej uczucia i liryzmu muzyki brahmsowskiej. Pan Zdzisław Jahnke zasługuje na miano wysokowartościowego skrzypka, który dysponuje nieprzeciętnym stylem interpretacyjnym oraz dobrą techniką, pokonywującą wszelkie trudności.

II Symfonja Jerzego Lefelda, którego znamy już z utworów kameralnych, pieśni solowych i pierwszej symfonji, świadczy o bardzo dobrej instrumentacji oraz szlachetności i prostocie inwencyj melodyjnych. Symfonja Jerzego Lefelda — to arcydzieło najnowszej literatury muzycznej polskiej. Charakterem swym przypomina muzykę romantyczną i daleką jest od zagadnień muzyki „nowoczesnej“, przemawiając szczerze do duszy i wywołując na długo uczucie głębokiego nastroju. Bardzo podniosłe Adagio - Allegro oraz Scherzo — to najciekawsze jej fragmenty.

Zakończeniem koncertu była Symfonja es - dur Haydna. Całość prowadził bardzo sprawnie i z wielkim pietyzmem dyr. Latoszewski.

*

Jednolite i ładne libretto opery „Madame Butterfly“ stwarza egzotyczne tło, pozwalając przedstawicielce tytułowej partji roztoczyć wdzięki gry aktorskiej.

Pierwszą rodowitą japonką, która śpiewała we Włoszech partję „Motylka“, była Tamaki Miura; po niej śpiewały Teiko - Kiwa, Jovita Fuentes i wiele innych... Partja „Butterfly“ — to specjalność japonek, które szczycą się nietylko włoską szkołą, ale przedewszystkiem grą aktorską, podnosząc ją do niezwykłych wyżyn.

Gościnne występy p. Teiko - Kiwa wskazują, że jest ona jedną z „najbardziej prawdziwych“ i typowych przedstawicielek postaci „Butterfly“, rozporządzającą pełnym i miłym, choć niezbyt wielkim głosem. Śpiew jej wywiera głębokie wrażenie, a gra aktorska stawia ją na czołowem miejscu wykonawczyń tej dramatycznej roli.

Krakowianin uzyskał doktorat na U. P.

W dniu 20. bm. odbyła się na Uniwersytecie Poznańskim promocja doktorska p. Stanisława Sierotwińskiego z Krakowa. P. Sierotwiński uzyskał doktorat na podstawie pracy p. t. „Mieczysław Pawlikowski — człowiek i pisarz na tle epoki“. Promotorem p. Sierotwińskiego był profesor dr. Tadeusz Grabowski. P. Sierotwiński należy do rzędu wybitnych działaczy akademickich, którzy organizowali gmach Rzeczypospolitej Akademickiej.

Przypominamy o uregulowaniu prenumeraty!

Poznań w karykaturze



Wit Gawęcki — Leonard Turkowski

Stanisław Pagaczewski, Kraków

Wicher

Hej! jak się rozpłomienił wicher
co se z Tater na doliny skoczył —
to się ino kurzem zawinon
kamieniami prasnon ludziom w oczy

poszorował po gościńcu szerokim
to na łbie, to zadem, to bokiem,
jak obłapił staruszkę wierzbinę
to jej szpetną ostawił łysinę —

jak ci wleciał w ulice miasteczka
i jak huknon hej ha — z radości,
toś se myśłoł człowieku biedoto
że ci wszystkie powygina kości...

zebrał nędzę i biedę ze świata
i lamenty jękliwe kumoszek
od figury przypadł — świętoszek —
i ozorem wianuszki wymiata —

A że Pan Bóg z za chmury popatrzał
na to dziwo przedziwne na dole
skinął palcem na wichra hultaja
co się właśnie przewracał po polu.

Skoczył Groźny do chmur jaskrawych
w Pokornego się zmienił odrazu —
Pan Bóg rękę na głowie mu złożył
jak prześwięty Jerzy z obrazu...

Taka Cichość na ziemi się stała
nawet zboża przestały labiedzić —
drogą polną wprost z nieba na ziemię
szedł Bóg Gazda, swe dzieci odwiedzić.

Wśród książek

J. RABSKI: „Alma Mater“, 1935. Księgarnia św. Wojciecha.

Większość recenzyj zaczyna się zwykle od twierdzeń ogólnych. Wywleka się zapomniane i aktualne autorytety, by ich powagą poprzeć swoje stanowisko w kwestjach, będących tematem sprawozdania. A pokusie naszkicowania tła i wypowiedzenia o nim swego sądu szczególnie trudno się oprzeć, jeśli omawiana książka odcina się wyraziście od całokształtu produkcji literackiej. Bo przez zestawienie dwuch rzeczy kontrastowych uzyskuje się jasne i pewne spojrzenie na różnice między niemi, a więc i możność dokładnego określenia wartości recenzowanego dzieła. W sposobie takim tkwi jednak niebezpieczeństwo generalizacji, która bez perspektywy historycznej nie może uzyskać pewnych i przekonywujących rezultatów. Chociaż więc walory książki Rabskiego uwypukliłyby się ostro w porównaniu z przeciętnym typem powieści polskiej, zestawienie takie ograniczyć się musi tylko do podkreślenia jej „inności“.

Oryginalność ta nie polega na jakichś nowych, osobliwych chwytach literackich, ale na temacie. Autor „Almae Matris“ poszedł śladem Wybranowskiego i wziął za przedmiot powieści ideologję ruchu narodowego. Dla wyrazistości wypowiedzenia ograniczył teren swego utworu do uniwersytetu, przez co bynajmniej nie umniejszył znaczenia powieści jako wyrazu całej myśli narodowej. Z pojmowania literatury jako funkcji aktualnego życia politycznego wypłynęło dość szkicowe potraktowanie obyczajowej strony życia akademickiego. Przez wysunięcie na czoło zagadnień ideowych również fragmentarycznie wypadł polityczny obraz uniwersytetu — powieść zyskała za to sugestywność tendencji. Literackiej wartości utworu nie umniejszył „balast ideowy“ — raczej ją podniósł. To, że bohaterowie nie przestają być żywymi ludźmi, mimo iż nietylko z czynów, ale i z każdego słowa przebijają ich przekonania ideowe, że ich postępowanie, nabierające niekiedy znaczenia symbolicznego nie traci nic z naturalności, świadczy pochlebnie o talencie autora, który z temi istotami (wspomnijmy choćby literaturę romantyczną) trudnościami gładko się uporał. Zdolność narracyjna, umiejętność poetyckiego przedstawiania stanów duchowych (scena rozterki bohatera po utracie szczęścia osobistego) sąd ten podtrzymują. Podkreślić trzeba także dobry smak autora, który, choć posługuje się tradycyjnemi akcesorjami powieściowemi, książki swej nie zbanalizował. W sumie debiut to udały i należy się spodziewać, że Rabski z piórem się nie rozstanie i niedługo, już bardziej entuzjastycznie, będzie można na tem miejscu o jego nowem dziele napisać.

M.P.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław Maciąg, Poznań

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.

Rękopisów nie zwraca się.